

JULIUSZ KYDRYŃSKI

# Anna Livia w Warszawie

665

**S** dyby można mówić o jakichś „sensacjach” niedawno minionych Warszawskich Spotkań Teatralnych, to było ich dwie. Mianowicie „Anna Livia” — sztuka Macieja Słomczyńskiego wg tekstów Jamesa Joyce’a w wykonaniu Teatru Współczesnego z Wrocławia w reżyserii Kazimierza Brauna (zarazem dyrektora Teatru) oraz „Umarła klasa” Tadeusza Kantora. To ostatnie przedstawienie dobrze jest znane w Krakowie, tutaj przecież (w Krzystoforach) powstało i stąd wyruszyło na objazd — i podobój — Europy zachodniej, a wreszcie trafiło do warszawskiego SARP-u. Inaczej z „Anną Livią”.

Niestety, jakoś tak się składa, że nie widzieliśmy na krakowskich scenach żadnej z joyce’owskich sztuk Słomczyńskiego: ani głośnego „Ulisse’a” gdańskiego sprzed lat kilku (reżyseria Zygmunta Hübnera, sukces na festiwalu w Wenecji), ani niedawnego stosunkowo warszawskiego „Bloomusalem”, tekstu, opartego na przekładzie Słomczyńskiego (XV epizodu „Ulisse’a”) a zrealizowanego przez Jerzego Grzegorzewskiego. Nie zanosi się także na to, by dotarła do nas owa „Anna Livia”. A przecież wszystkie te trzy przedstawienia mają w historii ostatnich lat naszego teatru miejsce zaszczytne i w pełni zasłużone. W czym rzecz?

Nie wiem. Ale niech mi będzie wolno w kilku słowach zawiadomić przynajmniej krakowską publiczność o tym, co działo się przed niewielu dniami w czasie przedstawień „Anny Livii” na scenie i na widowni Teatru Dramatycznego w Warszawie.

Tych wszystkich, którzy snują głębokie rozważania na temat rzekomego „kryzysu teatru”, zdziwi zapewne fakt, że już od 3 rano przed kasą zaczynały gromadzić się kolejki chętnych obejrzenia „Anny Livii”. Zaskoczył ich pewnie wiadomość, że szczęśliwi posiadacze „wejściówek” zapelnili podczas przedstawienia nie tylko wszystkie przejścia na widowni, lecz także pobożca sceny, niby za „najlepszych” czasów teatru elżbietańskiego. Była to przeważnie młodzież. I ta młodzież (ale nie tylko ona) skwitowała spektakl Słomczyńskiego-Brauna długotrwałą, niemilknącą owacją.

Z pewną rezerwą przyjęła natomiast przedstawienie krytyka prasy codziennej — temu jednak trudno się dziwić. Ponieważ do pełnego odbioru „Anny Livii” konieczna jest albo doskonała znajomość tekstów Joyce’a (i to nie tylko „Ulisse’a”, lecz przede wszystkim „Finnegans Wake”, a także wierszy z „Muzyki kameralnej”), albo nie stęplona wrażliwość, umożliwiająca szczerze emocjonalnie przyjęcie spektaklu, połączone ze zrozumieniem jedynie jego eschatologicznego sensu. Obu tych cech trudno wymagać od krytyki gazetowej, posiada je natomiast (często

obie równocześnie) entuzjastyczna publiczność, zwłaszcza młodzieżowa (ale, powtarzam, nie tylko).

Poemat dramatyczny (bo tak tylko przyjmować można „Annę Livię”), wykrojony przez Słomczyńskiego z tekstów „Finnegans Wake”, „Ulisse’a”, „Giacomo Joyce’a” i „Muzyki kameralnej”, jest poematem o życiu i śmierci. O ustawicznym odradzaniu się życia i o nieuchronności śmierci, których to elementów nosicielką — i personifikacją — jest Anna Livia Plurabelle z „Finnegans Wake” — jednocześnie: uosobienie irlandzkiej rzeki Liffey i wszystkich rzek świata, w ogóle żywiołu wody, do powstania życia nieodzownej, a także wiecznej kobiecości, matki-rodzicielki, kochanki, tragicznej Ape Regina — wywołanej na scenę teatru przez praczkę (również z „Finnegans Wake”), których poetycko-muzyczne ewokacje otwierają i zamykają cały spektakl. Spektakl ten, podobnie jak dzieje wszechświata, nie ma początku ani końca, a zawarcie go w dwu i półgodzinnej mierze czasu jest jedynie ustępstwem na rzecz teatralnej konwencji.

Tekst Joyce’a-Słomczyńskiego, oscylujący na bardzo różnych nivoaux artystycznych i doznaniowych — od obrzydliwości do farsy — posłużył Braunowi do zbudowania równie rozmaitego, a przecież dokładnie w swym ogólnym kształcie wyważonego widowiska. Jego tem jest niepokojąca scenografia Zofii de Ines-Lewczuk (choć pomysł pokazanej z góry — jakby od strony sufitu — sypialni Molly Bloom należy do Słomczyńskiego), a protagonistką pełną uroku Teresa Sawicka. Rola Anny Livii (wcielającej się w ciągu trwania widowiska także w inne joyce’owskie postaci, zwłaszcza w Molly Bloom z „Ulisse’a”) bynajmniej nie należy do łatwych. Tym bardziej zdumiewa swoboda z jaką dźwiga ją młodziutka artystka, której ze względu na nieodpartą wdzięk (no, i przepiękny akt) chętnie wybaczymy brak nieco silniejszej ekspresji, jaką w niektórych scenach chciałoby się widzieć. Rewelacją ekspresji są za to obydwie praczkę (Marlena Milwitt i Barbara Sokolowska), mówiące przeraźliwie trudny, zagadkowy tekst „Finnegans Wake” tak, jakby nigdy nic innego nie robiły. Trudno wreszcie nie wspomnieć o rolach Shauna i Shema (wzgl. Blooma i Dedala), zupełnie poprawnie oddanych przez Pawła Nowisza i Zbigniewa Górskiego. Muzyka Zbigniewa Karnickiego — nie dająca się wprawdzie porównać z niezapomnianą muzyką Stanisława Radwana do „Bloomusalem” — jest przecież także czynnikiem i pięknym elementem spektaklu „Anny Livii”.

A czemu Maciej Słomczyński — stale mieszkający i pracujący w Krakowie — tuła się ze swymi największymi osiągnięciami teatralnymi po wszystkich możliwych scenach z wyjątkiem krakowskich?

Ba, żebył ja to wiedział.

